Nr. 16. Sobota, dnia 29-go kwietnia 1916

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę Przewodnią.

LEKCYA

z pierwszego listu św. Jana, rozdział V, wiersz 4—10.

Najmilsi! Wszystko, co się narodziło z Boga, zwycięża świat: a to jest zwycięstwo, które zwycięża świat, jedno który wierzy, iż Jezus jest Synem Bożym? Ten jest, który przyszedł przez wodę i krew, Jezus Chrystus: nie w wodzie tylko, ale w wodzie i krwi. A Duch jest, który świadczy, iż Chrystus jest prawda. Albowiem trzej są, którzy świadectwo dają na siebie, Ojciec, Słowo i Duch święty: a ci trzej jedno są. A trzej są, którzy świadectwo dają na ziemi: Duch i woda i krew, a ci trzej jedno są. Jeśli świadectwo ludzkie przyjmujemy, świadectwo Boże większe jest. Albowiem to jest świadectwo Boże, które większe jest, iż świadczył o Synie Swoim. Kto wierzy w Syna Bożego, ma świadectwo Boże w sobie.

EWANGELIA

u św. Jana rozdział XX, wiersz 19—31.

Gdy tedy był wieczór dnia onego pierwszego szabatów, a drzwi były zamknione, kędy uczniowie byli zgromadzeni dla bojaźni żydów: przyszedł Jezus, stanął w pośrodku i rzekł im: Pokój wam. A to rzekłszy, ukazał im ręce i bok. Uradowali się tedy uczniowie, ujrzawszy Pana. Rzekł im tedy zasię: Pokój wam. Jako Mnie posłał Ojciec, i Ja Was posyłam. To powiedziawszy, tchnął na nich i rzekł im: Weźmijcie Ducha świętego. Których odpuścicie grzechy, są im odpuszczone, a których zatrzymacie, są zatrzymane. A Tomasz, jeden ze dwanaście, którego zowią Dydymus (bliźniak), nie był z nimi, kiedy przyszedł Jezus. Mówili mu tedy drudzy uczniowie: Widzieliśmy Pana. A on im rzekł: Jeśli nie ujrzę w ręku Jego przebicia gwoździ i nie włożę-li ręki mojej w bok Jego, nie uwierzę. A po ośmiu dni byli zasię uczniowie Jego w domu i Tomasz z nimi. Przyszedł Jezus drzwiami zamknionemi i stanął w pośrodku i rzekł: Pokój wam. Potem rzekł Tomaszowi: Włóż sam palec twój, a oglądaj ręce Moje, a ściągnij rękę twoją, a włóż w bok Mój: a nie bądź niewiernym, ale wiernym. Odpowiedział Tomasz i rzekł Mu: Pan mój i Bóg mój. Powiedział mu Jezus: Iżeś Mnie ujrzał, Tomaszu, uwierzyłeś. Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli. Wiele i innych znaków uczynił Jezus przed oczyma uczniów Swoich, które nie są w tych księgach napisane. A te są napisane, abyście wierzyli, że Jezus jest Chrystus Syn Boży, a iżbyście wierząc żywot mieli w Imię Jego.

NAUKA.

Po wielekroć okazuje się Pan Jezus uczniom po chwalebnem Zmartwychwstaniu swojem, dla trzech głównie powodów to czyni. Najprzód, mówi Jan św., że Pan Jezus „umiłowawszy swoich... do końca ich umiłował”. Więc tęskno mu po wszystkich ciężkich przejściach ostatnich dni Męki i śmierci swojej ich odwiedzić, pokazać im zwycięstwo i chwałę swoją i tem samem pocieszyć ich, rozwiać smutki i obawy ich. Brali oni serdeczny udział w tem wszystkiem, co Pan Jezus był cierpiał, to też pragnie On teraz, aby mieli również udział w weselu i radości Jego. I ten też był pierwszy skutek, jak wspomina dzisiejsza Ewangelia: „Uradowali się tedy uczniowie, ujrzawszy Pana”. I ty ufaj, że nie pozostawi ciebie Pan Jezus bez pociechy w każdym smutku twoim, byleś nie stronił od niego, jak Tomasz.

Drugim powodem częstego przestawania Pana Jezusa z uczniami po Zmartwychwstaniu było to, o czem napomknął u Jana św.: „Jeszcze wam wiele mam mówić, ale znieść nie możecie.” To też, czytamy w dziejach Apostolskich: Pan Jezus Apostołom „siebie samego stawił żywym w rozmaitych dowodziech, przez czterdzieści dni się im ukazując, i mówiąc o Królestwie Bożem.” Wprzódy Apostołowie byli tak pełni światowych na wskroś uprzedzeń o urojonych przepychach ziemskich przyszłego Królestwa Bożego, że i najprostszych nieraz rzeczy nie pojmowali, jak np. wtenczas, kiedy im Pan Jezus powiedział: „Jeszczeż i wy bez wyrozumienia jesteście?” Teraz, kiedy przeżyli wszystkie ciężkości wielkopiątkowe, sprawdziło się na nich słowo Izajasza proroka: „Samo tylko utrapienie da wyrozumienie;” i już bezpiecznie, bez obawy, że Go źle albo wcale nie zrozumieją, może im Pan Jezus mówić o niejednej z szczególnie ważnych rzeczy w Królestwie Bożem. I tak rzeczywiście przy sposobności pierwszego ukazania się, o którem w dzisiejszej czytamy Ewangelii, ustanawia Sakrament Pokuty, dając im moc odpuszczania i zatrzymywania grzechów.

Trzeci powód, dla którego się Pan Jezus tylekroć ukazuje uczniom swoim, jest potrzeba jak najgruntowniejszego przekonania ich o prawdziwości swego Zmartwychwstania. Słusznie mówi Paweł św.: „Jeśli Chrystus nie powstał z martwych, próżne tedy jest przepowiadanie nasze, próżna jest i wiara nasza.” Bo w samej rzeczy, gdyby Chrystus Pan nie był z martwych powstał, toć oczywiście byłby się pokazał słabszym od żydów — fałszywem też byłoby wszystko, co był przepowiedział uczniom o temże zmartwychwstaniu swojem — a zatem byłoby jasnem, że ani On sam nie jest Bogiem, ani nauka Jego nie jest wiarogodną. Dlatego to Pan Jezus mnoży dowody na to, że On, ten sam, co był umarł na krzyżu, prawdziwie też zmartwychwstał. Jakby umyślnie dopuszcza, że apostołowie i uczniowie prawie uparcie bronią się widocznej prawdzie, i chociaż widzą Go i słyszą, rękoma dotykają się ran Jego świętych, podają Mu jeść, jednak wciąż jeszcze nie dowierzają, i niejako nie chce im pomieścić się w głowie, że to

nie widmo, nie duch jaki, ale rzeczywisty i prawdziwy Pan Jezus im się pokazuje. W końcu przemogła ich wytrwała cierpliwość Pana Jezusa, i prawda utorowała sobie drogę do serc ich. To też apostołowie, kiedy po Wniebowstąpieniu Pana Jezusa i po Zesłaniu Ducha św. poczynają nauczać, mówią wszystkim najpierw o Zmartwychwstaniu, jako o podstawie wszystkiej wiary swojej i naszej. Tak Piotr św. w pierwszej zaraz nauce, tuż po Zesłaniu Ducha św., powołując się na proroctwo Dawidowe „o Zmartwychwstaniu Chrystusowem, iż ani zostawion jest w piekle, ani ciało jego ujrzało zepsowania", śmiało ciągnie dalej: „Jego Jezusa wzbudził Bóg, czego my wszyscy jesteśmy świadkami." Paweł św. też szczególny nacisk kładzie na świadectwo o Zmartwychwstaniu Pańskiem. Tak np. pisze: „Bo naprzód podałem wam, com i wziął, iż Chrystus umarł za grzechy nasze według Pisma; a iż widziany jest od Cephy, a potem jedenaściom. Potem był widzian więcej niźli od pięciuset braci wespołek; z których wiele ich trwa aż dotąd, a niektórzy zasnęli. Potem był widzian od Jakóba, a potem od wszystkich apostołów. A na końcu od wszystkich był widzian i odemnie." I Jan św., jakby powołując się na słowo w dzisiejszej Ewangelii, powiedziawszy, że nie wszystkie opisał znaki Zmartwychwstania Pańskiego mówi: „A te są napisane, abyście uwierzyli: że Jezus jest Chrystus Syn Boży: a iżbyście wierząc, żywot mieli w Imię Jego".

Tomasz św. wiele widocznie miał zarozumiałości, kiedy innym apostołom, których przecież znał jako ludzi rozważnych i wiarogodnych, nie chciał uwierzyć, że widzieli Pana Jezusa prawdziwie zmartwychwstałego, ale wręcz oświadcza, że nie uwierzy, póki on sam nie zobaczy i sam się nie przekona. Według niego, inni apostołowie nic nie znaczą, nic nie wiedzą; on dopiero gdy całą sprawę zbada i stwierdzi, wtenczas co innego, i nie będzie już żadnej wątpliwości. Zarozumiałość taka bywa przyczyną niedowiarstwa. Wogóle są trzy główne źródła niedowiarstwa: najpospolitszem z nich bezmyślność, t. j. że ludzie tak sobie zaprzątają głowę marnościami tego świata, iż o Bogu, o wieczności, o zbawieniu duszy pobieżnie tylko, albo wcale nie myślą. Drugą przyczyną niedowiarstwa bywa rozwiązłość obyczajów, bo wogóle tylko ludzie czystego serca oglądają Boga, a o nieczystych powiedziano: „Nie udadzą myśli swoich, żeby się nawrócili do Boga swego, bo duch wszeteczeństw w pośrodku nich, a Pana nie poznali." Trzeciem źródłem niedowiarstwa bywa zarozumiałość, czyli pycha, która sprawia, że pysznemu się zdaje, iż on jeden wszystkie już pojadł rozumy; dla niego niemasz żadnej powagi — ani Kościół św., ani papież, ani biskupi, ani Ojcowie św., ani Święci Pańscy, ani męczennicy, ani apostołowie nic nie znaczą, nic nie rozumieją, bo on jeden mędrszy od nich wszystkich. Czego nie rozumiem, w to nie wierzę, powiada, i mniema, że tem coś arcymądrego powiedział; tymczasem to zdanie „czego nie rozumiem, w to nie wierzę" jest zupełnie bez sensu. Bo jeżeli czego nie rozumiem, to o tem nie mam prawa sądzić, póki nie zrozumiem. Z tego, że czegoś nie rozumiem, wynika chyba to jedno, że ja, pod tym przynajmniej względem, jestem głupi, ale wcale nie to, żeby to, czego nie rozumiem, miało być głupstwem albo nieprawdą. Dziś jest tyle nowych wynalazków, że człowiek nawet wykształcony, nie może zawsze nadążyć, żeby z wszystkiem zaraz się zapoznać. Gdybyś np. nigdy jeszcze nie widział wozu elektrycznego, który pędzi bez koni i pary, ani też nie rozumiał, że taki wóz istnieć może, czyżbyś okazał wielki rozum, gdybyś komu, co widział i rzecz zna dokładnie, chciał powiedzieć: to głupstwo, to nieprawda, ja temu nie wierzę, bo tego nie rozumiem. Podobny też jest przesławny rozum zarozumiałych naszych niedowiarków. X. J.

Święto Zmartwychwstania Pańskiego w Rzymie.

Od czasów wydarcia Państwa Kościelnego Papieżom, uroczystości religijne nie mogą się rozwijać w Rzymie z całą swobodą i wspaniałością. Zwłaszcza w ostatnich latach, masonerya, prześladująca katolicyzm z wściekłą zajadłością na każdym kroku, stawia im przeszkody. Muszą się więc ograniczać możliwie, co im wszakże nie ujmuje uroku i majestatu, tkwiącego w ich treści wewnętrznej, chociaż blask zewnętrzny został przyćmiony.

O wspaniałości obrzędów religijnych w Rzymie za panowania Papieży, przechowuje się jednak trwale tradycya, przechowują się pełne zachwytu opisy turystów i pielgrzymów. Posłuchajmy opowieści Odyńca, przedstawiającej obchód Zmartwychwstania Pańskiego w Wiecznem Mieście w roku 1830.

Właściwej Resurekcyi nocnej ani wieczornej tu niema; zastępuje ją Msza ranna, podczas której Alleluja śpiewają. W pierwszy dzień świąt, równo ze wschodem słońca, huk dział i dziwnie wesoły odgłos dzwonów po mieście jest pierwszem uroczystości hasłem. Na wałach zamku Św. Anioła zatknięte białe chorągwie, z herbami miasta Rzymu i panującego Papieża, powiewają nad drogą, do katedry św. Piotra, wiodącą i same ją zdają się wskazywać. Mszę św. w katedrze, przy środkowym ołtarzu, odprawia sam Papież, siedząc na tronie, twarzą odwrócony do ludu. Po bokach, według starszeństwa, siedzą rzędem kardynałowie i biskupi w pontyfikalnych ubiorach, a sześciu z nich, w ornatach, służy do Mszy Ojcu świętemu. Wspanialszy jeszcze widok z drugiej strony ołtarza. Cały olbrzymi kościół zapełniony ludem, który się w nim nawet pomieścić nie może i widać przez drzwi otwarte, że z odkrytemi głowami, cały plac i krużganki zapełnia. Po skończonem nabożeństwie, obie masy łączą się z sobą na placu, oczekując na błogosławieństwo Papieża.

Ktoby chciał choć w najmniejszej cząstce pojąć wielkość i wrażenie tego obrzędu, niech nie zważa na słowa opisu; ale jeśliby widział choć rycinę Rzymu, niech sobie wystawi w myśli ów przepyszny plac św. Piotra, z facyatą kościoła jego w głębi, z olbrzymiemi krużgankami po bokach, z dwoma najpiękniejszemi w świecie wodotryskami i obeliskami pośrodku, zamknięty z czwartej strony, od miasta, kilkudziesięcioma rzędami powozów, napełniony kilkunastoma albo i więcej tysiącami ludu, oczekującego z religijnem wzruszeniem ukazania się i błogosławieństwa Namiestnika Chrystusa — a nad tem wszystkiem błękitne niebo włoskie i pogodne słońce kwietniowe. Powietrze drży od gwaru i migoce od blasku. Wtem w głębi ciemnego okna, nad przysionkiem kościelnym, promień słońca odbił się o coś jasnego — i błysnął, jak błyskawica. W jednej chwili cichość powszechna, wszystkie oczy w jeden cel wryte. Jasność w oknie po-

większa się, wysuwa i naraz, za pomocą urządzonej ku temu machiny, ukazuje się nad przysionkiem Papież, siedzący na tronie, w białych szatach, w tyarze, otoczony kardynałami w purpurze, w półkole stojącymi za tronem. Huk dział, dźwięk dzwonów, odgłos trąb, bębnów i rozstawionych muzyk, zabrzmiały razem jak piorun i również nagle zamilkły. Papież wstaje z tronu, podnosi obie ręce ku niebu i modli się za lud, nad ludem. Cichość, jakby nikogo nie było; wrażenie nie do opisania. W tej chwili nikt zapewne nie myśli o różnicy wyznania.

Papież opuszcza ręce i zwracając się na trzy strony, błogosławi »miastu i światu«: urbi et orbi. Znów działa, dzwony, bębny i muzyka, jak przedtem — zmieszane niespodzianie tym razem z ogólnem rżeniem koni, przerażonych widać tem nagłem przejściem z milczenia do wrzawy, ale które dziwnym sposobem we wrażeniu się ludzkiem odbiło. Wszystek lud upadł na kolana w pokorze i milczeniu, jak gdyby po przyjęciu Sakramentu Ołtarza. Papież zasiadł znów na tronie, chwilę jeszcze pozostaje na miejscu, powtarza błogosławieństwo siedzący, usuwa się w głąb okna i znika. Kto raz był świadkiem tej chwili, z pewnością nie zapomni jej nigdy.

Wieczorem urocze oświetlenie kopuły i kościoła św. Piotra, a nazajutrz wspaniały fajerwerk, t. zw. Girandola, na zamku św. Anioła, kończą uroczystości wielkanocne w Rzymie. Jest w tem coś cudnego, czarodziejskiego. Zamknijcie naprzód oczy i wyobraźcie sobie plac i kościół św. Piotra, które przecież każdy zna z rysunku. Kopuła wielka i obie poboczne, cały fronton kościoła i oba place otaczające krużganki, wszystkie spojenia dachu, wszystkie gzemsy, podstawy i kapitele kolumn, słowem wszystkie punkta wydatne, gdzie się lampy utrzymać mogą: wszystko to gore, płonie, pała — i to nie migotnemi, osobnemi lampami, jak u nas, ale osłonionemi papierem, napuszczonym oliwą, przez który płomienia nie widać, tylko nieruchomy blask zlewa się w nieprzerwane linie światła, które, jak hafty ogniste, znaczą wszystkie kontury rysunku tej najwspanialszej na świecie budowy. Najwyższa część kopuły z oknami, t. zw. »latarnia«, zdaje się być całkiem przejrzystą, a krzyż górujący nad banią, na tle czarnem nocnego błękitu, świeci, zda się, między gwiazdami, jak jakaś nowa konstelacya niebieska, przy której wszystkie dawne bledną. Wszystko to zapala się za dnia tak, że gdy zmierzch padać zaczyna, cały ten ogrom ognisty zjawia się, jakby sam przez się i tylko coraz widoczniej występuje, zadziwia, zachwyca. Na tem nie koniec. To tylko podmalówka obrazu.

Punkt o godz. 10-ej słychać trzykrotne uderzenie we dzwonek. I oto z wierzchu i z dwóch ramion krzyża wybuchły razem trzy ogniste pochodnie; w tejże chwili, w temże oka mgnieniu, dach kopuł, kościół, krużganki oblały się podobnemiż ogniami, jakby grad meteorów osypał je z góry. Potop nowej światłości lunął, jakby falą, po ziemi, i błyskawicą odbił się na niebie. Fiat lux w całem znaczeniu, przy zasiewie firmamentu gwiazdami. Jakże się to dzieje?

Oto do obsługi kościoła św. Piotra, do utrzymania w czystości i porządku wszystkich jego szczegółów i części, od podziemia aż do szczytu krzyża, jest cała osobna armia ludzi, zwanych też Sanpietrini, którzy się gnieżdżą, rosną, wychowują i żyją tylko w cieniach jego dachu, a jak strzelcy alpejscy po skałach, tak pną się, skaczą i biegają po gzemsach i stromych wyżynach, gdzieby żaden inny śmiertelnik ani się wdrapać, ani ostać nie mógł. Ci tedy Sanpietrini stanowią właśnie ową maszyneryę, za pomocą której ta cudowna zmiana dekoracyi się odbywa. Rozstawieni po dachach i gzemsach, każdy ma do zapalenia nie więcej nad trzy pochodnie, połączone z sobą siarkowanym sznurkiem tak, że za przytknięciem do niego lontu, wszystkie zapalają się odrazu. Operacya wszakże tak jest niekiedy niebezpieczną, że wszyscy uczestnicy jej spowiadają się rano, jak żołnierze przed bitwą i rzadko się bez wypadku obywa.

Ów fajerwerk, Girandolą zwany, spalany — jak wyżej nadmieniłem — dnia następnego na wałach zamku św. Anioła, jest to również widowisko ognia, tylko »na inszy manier«; w iluminacyi z góry na dół, w Girandoli zaś z dołu do góry. Sam okrągły kształt wałów i położenie ich nad samym Tybrem dziwnie się już na scenę fajerwerku nadaje. Za danem hasłem z działa, trzy naprzód ogniste balony wzniosły się jednocześnie w powietrze i zaraz też kilkaset rac razem śmigało w górę z całej okrągłości wałów, osypując cały zamek gwiazdami; po chwili ściany tych wałów zapłonęły w ogniste festony, z herbem papieskim i tyarą pośrodku. A cóż dopiero mówić o różnobarwnych młynkach, kołach, fontannach, kaskadach, które wciąż, siejąc iskry i gwiazdy, kręciły się, tryskały i upadały do Tybru, dwojąc się w jego falach i gasnąc w nich z trzaskiem i sykiem; nakoniec wybuch wulkanu, zionąc tysiącami szmermelów i tęczowym ogniem bengalskim, zamknął to dwugodzinne, cudne widowisko.

Z przysłów wielkanocnych.

Kiedy w Wielki Piątek rosa, to nasiej gospodarzu prosa.

Kiedy w Wielki Piątek mróz, to gospodarzu proso na górę włóż.

Jak jest w Wielki Piątek mróz, to z worem proso do pieca włóż.

W Wielki Piątek mróz, na suchym brzeżku siana wóz.

Jak w Wielki Piątek pada, to będzie rok prągnący.

Jeśli w Wielki Piątek kropi, radujcie się chłopi.

W Wielki Piątek, gdy deszcz hojnie doliny zleje, że dużo mleka będzie, są pewne nadzieje.

W Wielki Piątek dobry zasiewu początek.

W Wielki Piątek rób początek, a w sobotę kończ robotę.

W Wielki Piątek boleści Maryi początek.

Jak na Wielkanoc pada, to trzeci kłos w polu przepada, ale jak na Zielone Świątki pada, to złe naprawia.

Od Wielkiejnocy do Zielonych Świątek można lać (polać) choćby i w piątek.

Pogodny dzień Wielkanocny grochowi wielce pomocny.

Ma więcej do roboty, niż piece na Wielkanoc.

Mieć co innego do roboty, jak piec placki Wielkanocne.

Nie każdy ma prosie na Wielkanoc.

Nie każdej niedzieli Wielkanoc.

Tylko jedna nocka będzie Wielkanocka.

ŚMIGUST.

...Przodzi lepiej bywało — to niema godki. Inaksze wszędy po wsiach było życie, inakszą chłop miał fantazyę! Turbacye nawiedzały poniektórego człeka, a juści; to młodą babę pochował, to dziecka już duże, co przy gospodarstwie by się ojcom duchem przydały, Pan Jezus zabrał, to suszę okrutną i nieurodzaj na pola spuścił — ale jakoś raźniej się żyło, ochota w młodych kipiała, a skoro przyszły święta abo weselisko, to się naród radował aże hej!

Przódzi wieski człek, coby prawdę rzec, to był piękniejszy jak dzisia. Widzi mi się, co i dzieuch po naszych wsiach więcej było takich, jako te jabłuszka rumiane w sadzie na jesieni... Może ino tak mi się teraz zdaje, że sam już za dzieuchami nie gonię, bo juści nie moja to sprawa, kiej wnęcki wrzeszczą mi za uszama: dziadusiu! dziadusiu! Ale że chłopaków coraz mniej śmigłych, postawnych, raźnych, co to jednaka gra w nich ochota i do bitki i do dzieuchy i do roboty — tego mi pewnikiem juże nikto nie zaprze. A kto wie, czy naród nie widzi się brzydszy bez to, co przestał się tera ubierać po naszemu?.... Dzisia na ten przykład to poniektórych wsiach nie uświadczysz chłopa, coby wyglądał jak chłop. Jak oto idzie białymi gościeńcami w niedzielę na sumę, zda się człeku zdaleka, co czarne jakiesi robactwo rozlało się po drodze, nie katolicki naród.

Dziękować Panu Jezusowi, co u nas w Krakowskiem jeszcze biała sukmana i kierezya się ostały i czapka z pawiem piórem. A nasze kobiety jak się ustroją na niedzielę, to myślę se zawdy, co nikaj takich bab i dzieuch na świecie nie najdzie. Ale nie bez to, cobym się do dziewek zalicał, chociem od dwóch roków gdowiec i na upartego tobym jeszcze babę brać mógł, ino co nasz chłopski naród z duszy serca nawidzę, a okrutecznie to już ten najmłodszy przychowek...

Rózia od Ziętary od Franka, dzieucha jak malwa, zawdy się w takim przypadku niby obruszy i peda:

— Ej Jacenty! rabuśnik z was i grzyśnik okrutny, choć już osiem krzyżyków na grzbiecie wam siedzi!

A ja jej na to:

— Nie wydziwiaj od ośmiu krzyżyków, bo dwaścia roków mi do nich potrza, a krzepkim gdowiec i ociec mi cię w te razy dadzą, skorobym ino chciał!

A gdy odendzie, to kiejby za dzieckiem rodzonem krzyżyk za jej głową zrobię i westchnę do Boga, coby jej dobrą dolę dał....

Nie do krzty może dzisia najgorzej, skoro są jeszcze takie Rózie, takie gospodynie jak u nas Godulina, chłopy stare i łebskie, jak u nas Krzeciosz i parobki setne, jak nie chwalący się mój Antek, Wicek i najmłodszy Szymuś. Ale styrdzieści roków temu, kiejem sam parobkiem był, to młodzi byli inaksi.

Na ten przykład śmigust. Dzisia obleją kiejniebądź dzieuchę przy studni z drzewianej sikawki, śmiguśnicy wlezą do chałupy, żeby im co dać, chodzi i para »dziadów« — ale z tej breweryi, z tej okrutnej ochoty, co przódzi, to ani znaku.

Ja moją niebożyczkę bez to, co na drugim końcu wsi ojcowie jej siedzieli, hen, u samych granic, tom prawie że nie znał, choć gospodarska była córka i gront za nią się patrzał. Nie widziała mi się ni taka urodziwa, ni przyścipna, jaką po prawdzie była. Aże dopiero, jakem w śmigustny poniedziałek zakradł się rano pod ich chałupę i uźrał ją w złociuśkim słonku na progu białej jak śnieg chałupy z konewkami w rękach, jakisi gorąc buchnął mi w piersiach do góry i mówię se w duchu: Rety! adyć muszę ją na ślubną babę dostać, choćby sam jancykryst na swoich kozich rogach miał na dródze bez całą wieś tańcować!

Alem śmigustu nie poniechał. A ona w progu stoi — obziera się — nikogo. Przyszły jej do fartucha kury, gdaczą, przekrzywiają łby, pozierają, czy nie sypnie ziarna — a ona nic, tylko dalej podrywki, czy ktosi schowany w krzakach za płotem nie chluśnie na nią wodą, skoro się nabliży. Ale na ostatek zeszła z progu i idzie szerokim obejściem w dół do studni. Spuszcza duchem wiadro, spieszy się, bo chłopak może w te pędy skądeś wypaść — ciągnie pełne w górę, nalewa do jednej konewki potem do drugiej. A ja jak nie hycnę bez płot, potem trzy susy do studni! Już mam w garści konewkę, i już moja Maryś cała, od głowy do pięt mokrzuśka, jak ta kokoszka na ulewnym deszczu! Ale zanimem gębę ozwarł, coby się naśmiać ze śpasu, rety! — jak ci dzieucha chluśnie na mnie wodą z drugiej konewki!... A z taką mocą prosto w oczy, w szyję, w piersi, aże mnie cofło w tył!

Ledwo com ślepia z wody przetarł i poźrał przed się — a tu już z mojej Marysi ani znaku przy studni: stoi se w progu chałupy i marchewkę mi na palcu skrobie.

— O, tylaś mi zrobił! — śmieje się — ja się migiem w izbie w suchą przyodziewę przewlekę — a ty będziesz mokry dymał do domu bez całuśka wieś! Chciałeś śmigustu — to masz; juże pewnikiem haw nie wrócisz!

Odkrzyknąłem:

— Wrócę, i jeszcze ktosi ze mną — z wódką!

Bo straśnie mi się od onego śmigustu Marysia udała! Po Zielonych Świątkach była już moją babą.

Takie to przódzi śpasy się wyprawowało w poniedziałek śmigustny; raźniej było na świecie dookoła, na naszych rolach, łąkach, pod niskimi pułapami naszych białych chałup! Zda się, że słonko nawet jaśniej nam przyświecało...

Kto w czas zyska przyjaciela,
Pociech i troski wspólnika,
Niech z pełni serca wykrzyka,
Bo jako powietrza ciału,
Tak duszy trzeba udziału.
Kto będzie w słowa oszczędny,
Tobie otwarty a względny,
Jeżeli nie wiedzieć czemu,
Tęskno ci będzie ku niemu,
Gdy i milcząc, tobą władnie,
Skryty twój smutek sam zgadnie;
Wykrzyknij pełen wesela,
Że znalazłeś przyjaciela.

